Nr. 15. Warszawa, d. 1 Sierpnia 1907 r. R. IX.

ŁOWIEC POLSKI

Kantor Redakcyi „Łowca Polskiego: Ś-to Krzyzka 36 w Warszawie.
(Listy do Redakcyi „Łowca Polskiego" adresować należy: Smolna 40).

KALENDARZYK MYSLIWSKI.

W sierpniu wolno polować na: dziki, łosie (byki), sarny (rogaczej, głuszce (koguty), cietrzewie (koguty), jarząbki (koguty), oraz na wszelkie ptactwo przelotne, a od 1 (14) sierpnia na jelenie (byki), zające, głuszce, cieciorki, jarząbki (kury), kuropatwy i dropie.

Lunacya w sierpniu.

Ost. kw. d. 1 o g. 3 m. 59 r.
Nów d. 9 o g. 8 m. 10 r.

Wschód i Zachód Słońca

w sierpniu.

Dnia	Wschód		Zachód	
	g.	m.	g.	m.
1	4	20	7	52
2	4	21	7	50
3	4	23	7	48
4	4	24	7	47
5	4	25	7	45
6	4	27	7	43
7	4	29	7	41
8	4	31	7	39
9	4	33	7	37
10	4	34	7	36
11	4	35	7	33
12	4	37	7	31
13	4	39	7	29
14	4	40	7	28
15	4	42	7	26



Dwutygodnik ilustrowany, poświęcony myślistwu, broni i hodowli psów myśliwskich.

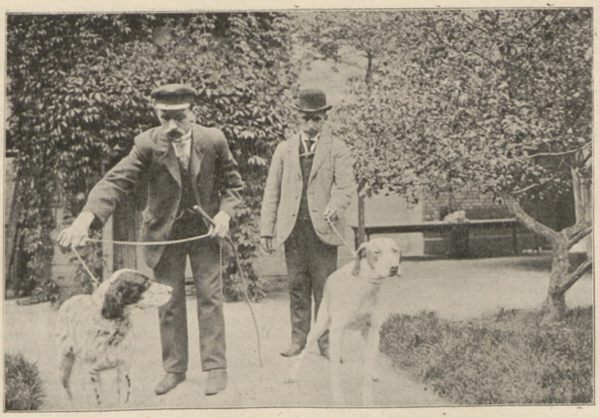
Organ Warszawskiego Oddziału Cesarskiego Towarzystwa prawidłowego myślistwa.

Ogólnego zbioru Nr. 201.

Nr. 15. | Warszawa, d. 1 sierpnia 1907 r. | Rok IX.

Warunki prenumeraty i ogłoszeń na końcu tekstu.

V-ta Warszawska Wystawa psów.



„RAM-KUJAVIA“ (z prawej strony) — pointer p. Jana Wójcickiego, nagrodzony medalem złotym W. T. P. M., oraz nagrodą Aleksandra hr. Ilinskiego-Kaszowskiego (przedmiot wartościowy).

ZJAZDY WE LWOWIE.

W d. 1 i 2 lipca r. b. odbył się XI Zjazd gal. Tow. łow. we Lwowie. Dzień pierwszy wypełnił zajmujący odczyt ces. rad. Hubnera na temat projektowanej w 1910 r., międzynarodowej wystawy łowieckiej w Wiedniu. Ponieważ sprawa ta interesuje i nasz świat myśliwski, więc w następnych numerach pisma naszego podamy odczyt rad. Hubnera *in extenso*.

W d. 2 lipca odbyło się Walne Zgromadzenie Towarzystwa w sali posiedzeń Gal. Tow. kredytowego ziemskiego pod przewodnictwem prezesa Stanisława hr. Stadnickiego i przy udziale 40-tu członków. P. prezes, stwierdziwszy pomyślny stan finansowy Towarzystwa, streścił całoroczną działalność jego, a następnie zaznaczył, że opracowanie nowej ustawy łowieckiej dla Galicyi uległo zwłoce wskutek wakacyjnej przerwy sesyi sejmowej. Dotychczas opracowano 60 paragrafów. Po przyjęciu do wiadomości protokółu ostatniego Walnego Zgromadzenia i sprawozdania Wydziału z czynności za rok 1906/7, udzielono Wydziałowi absolutoryum po przeczytaniu sprawozdania Komisyi rewizyjnej. Sprawę ściągania zaległych składek członkowskich pozostawiono kompetencyi Wydziału, poczem debatowano nad niedoszłą do skutku wystawą łowiecką. Główną przyczyną tego odroczenia była ciasnota przeznaczonego na wystawę pawilonu przy bardzo znacznej liczbie zgłoszeń, a także szczupłość funduszu, jakim rozporządzał Komitet. Wywiązała się wtedy dyskusya, czy wystawę urządzić w roku przyszłym, 1908, czy też zaniechać jej zupełnie, wobec projektowanej na rok 1910-ty, międzynarodowej wystawy łowieckiej w Wiedniu. Po ożywionych dyskusyach, Zgromadzenie uchwaliło urządzić wystawę łowiecką we Lwowie w r. 1908.

Co do wystawy w Wiedniu, dr. Sołowij postawił wniosek następujący, który jednogłośnie uchwalono: Porucza się Wydziałowi: 1) aby przystąpił niezwłocznie do utworzenia obszernego komitetu, mającego się zająć urządzeniem wystawy galicyjskiej w czasie wystawy międzynarodowej w r. 1910, tak, aby już ukonstytuowany komitet przystąpił jaknajrychlej do pracy; 2) Walne Zgromadzenie wyraża przytem prośbę, a zarazem nadzieję, że tak Wydział Towarzystwa, jak niemniej Komitet wystawowy nie będą szczędzić trudów i dołożą wszelkich starań, aby działowi galicyjskiemu wystawy zapewnić należące mu wybitne miejsce, a łowiectwo polskie godnie światu przedstawić.

Po odbytem balotowaniu członków Wydziału, członek Linderski przedstawił wniosek zniesienia w konkursach strzelania z pistoletu. Wniosek ten odesłano do rozpatrzenia komitetowi, urządzającemu premiowe strzelanie.

Tegoż samego dnia o godzinie 2-ej po południu odbyło się konkursowe strzelanie w strzelnicy wojskowej przy udziale 121 konkurujących, między którymi znalazła się jedna dama, a mianowicie p. Emilia Jędrzejewiczowa. Rezultat konkursu był następujący:

I. Strzelanie z pistoletów na 25 kroków: 1) p. Konst. Kownacki, 2) p. por. Hubner.

II. Strzelanie kulami do tarcz stałych na odległość 80 kroków: 1) p. Henryk Prek, 2) p. Konst. Kownacki, 3) p. por. Haubold.

III. Strzelanie kulami do tarcz stałych na odległość 120 kroków: 1) por. Haubold, 2) p. Konst. Kownacki 3) p. Henryk Prek.

IV. Strzelanie kulami do tarcz ruchomych, mianowicie do dzika: 1) p. Kaz. Marmaross, 2) p. Henryk Prek, 3) p. Zdzisław Marmaross.

V, Strzelanie kulami do tarcz ruchomych, mianowicie do lisa: 1) p. Kaz. Marmaross, 2) p. Buszyński, 3) p. Zdzisław Marmaross.

VI. Strzelanie do krążków glinianych: 1) p. Stan. Pieńczykowski, 2) p. Witold Traczewski, 3) p. Albert Mniszek.

W d. 3 lipca odbyło się Walne Zgromadzenie gal. Klubu hodowli i tresury psów myśliwskich przy udziale 14 członków. Wice-prezes Klubu, p. Albert Mniszek, przedstawił Zgromadzeniu nowo opracowane na wzór statutów wiedeńskiego Klubu hodowli psów angielskich — statuta. Składka członkowska zostaje podniesioną do 20 kor., a dla leśników i myśliwych zawodowych — do 10 kor. Projektowanem jest nabycie w jaknajkrótszym czasie reproduktora niemieckiego za jakie 1,000 do 1,500 kor. Zgromadzenie projekt statutów przyjęło i poleciło Zarządowi

OSTATNIE ŁADUNKI.*)

Przez

Henryka de Bruchard'a.

(Z francuskiego).

Około południa zeszliśmy się wszyscy znużeni, zarówno myśliwi, jak i psy. Polowaliśmy od świtu na polach spalonych i suchych. Znużenie nasze widocznem było po westchnieniu, jakie każdy z nas wydawał, zasiadając pod altaną oberży. W powietrzu unosiły się rozpalone prądy; przyglądaliśmy się, jak w wązkim cieniu domów przesuwały się dewotki, zapóźnione na zwykłych ploteczkach. Białe wino miejscowe, lekkie i świeże, które czuć było krzemieniem i winnem gronem, przyjęliśmy z uznaniem. Niemniej gorąco przyklasnęliśmy pstrągom i obietnicy pieczonych przepiórek, a ponieważ otwarcie polowania było pomyślne, więc, jako prawdziwi gaskończycy, lubiący wesołe historyjki myśliwskie, przeplatane wybuchami śmiechu, rozpoczęła się serya anegdot hałaśliwych i fantastycznych.

Nie my jednak sami drwiliśmy sobie ze słońca i z much dokuczliwych w cieniu zakurzonych liści.

Na przeciwnej stronie ulicy znajdował się niewielki, ale schludny ogródek z koszlawemi gruszami, z szerokiemi grzędami jarzyn, spuszczającemi się do rzeki. Nieco najpospolitszych kwiatów, kilka wyrudziałych od słońca trawników, nieunikniona kula cynkowa, a w niej odbijająca się — oczywiście w sposób karykaturalny — cała rodzina, zajadająca śniadanie pod przykryciem.

„Jacyś poważni sąsiedzi“ — zauważył Croquant, pragnąc zapewne uniknąć wiszących w powietrzu drwinek z błędów, jakie popełnił jego pies, wyżeł nieporównany, układany przez niego samego, — niemający, oczywiście, równego sobie w całym departamencie, który jednak wpadał na kuropatwy, szukał o dwa kilometry, gubił każdego postrzelonego zająca, interesował się wołaniem lub świstkiem, nie więcej jak paczką tytoniu, a do skowronka stawał równie twardo, jak do bażanta.

Spostrzegłem dwie blachy, błyszczące się w słońcu. „Do licha, to notaryusz!“ i mieliśmy na nowo rozpocząć złośliwą rozmowę o psach, gdy głębokie westchnienie Lapeyrose'a zwróciło uwagę wszystkich. Nie trzeba było długo czekać na objaśnienie; w tej szczęśliwej Gaskonii tajemnice nie istnieją, szczerość jest zaletą powszechną i nie trzeba się o nią prosić.

*) Autor robi tutaj aluzyę do słynnego obrazu *(La dernière cartouche)* francuskiego malarza, de Neuville'a. *(Przyp. Hom.)*.

przedłożyć je Namiestnictwu do zatwierdzenia. Rachunki zamknięto zwyżką 2,270 kor. 7 hal. Preliminarz na rok 1907 przewiduje 1,060 koron wpływów i tyleż rozchodów.

Gawędy starego myśliwego.

X.

Stosunki rodzinne łączyły mnie i łączą dotąd z wielu mieszkańcami gub. mohylowskiej, a że gubernia ta posiadała dawniej wielkie przeważnie majątki ziemskie i ogromne przestrzenie leśne, więc, naturalnie, ciągnęły mnie w tamte strony nietylko uczucia serca i przyjaźni, ale i wielkie zamiłowanie do myślistwa. A teren dla myślistwa był tam wyjątkowo prawie doskonały, bo zacząwszy od wszelkiego rodzaju ptactwa błotnego, które zabijało się tam kopami, gubernia mohylowska obfitowała i w zwierzynę najgrubszą, jak łosie i niedźwiedzie. Dość powiedzieć. że na jednorazowym ciągu zabijało się po 25 sztuk słonek, a na polowanie na dubelty trudno bywało zabrać dostateczny zapas amunicyi, któryby na jakąś większą połowę dnia wystarczył. Ze zaś i stosunki tamtejszych właścicieli ziemskich były serdeczne, a tradycyjna, dawna życzliwość i gościnność skrupulatnie były przez nich nietylko wykonywane, ale i odczute, przeto na drobniejszą mianowicie zwierzynę polowało się tam wszędzie, i nawet dla więcej namiętnych zwolenników polowania przedstawiała się możność najzupełniejszego zaspokojenia ich pożądań myśliwskich.

Sięgając pamięcią w lata minione i przypatrując się teraźniejszym polowaniom, w których wygoda, ochrona od większego zmęczenia i nawet pewnego rodzaju komfort dużą odgrywają rolę, mimowoli nastręcza się porównanie starych, dawnych myśliwych z generacyą myśliwych młodszych, i przychodzi się w końcu do przekonania, że nietylko sposoby polowania i prawdziwe zamiłowanie do tego sportu tak znacznie się zmieniły, iż i w tym sporcie widoczne są wpływy nowoczesnej cywilizacyi, która okrasiła może jego formy zewnętrzne, ale i podkopała jednocześnie, że tak powiem, ducha i użyteczność tego sportu. Dawniejszy bowiem myśliwy z bronią, torbą na ramieniu i z zapasami w niej żywności od świtu do nocy kroczył za wyszukiwaniem zwierzyny. bez zmęczenia i zbytecznego wysiłku przebywał grzązkie błoto, gęstwiny leśne, góry i parowy, powtarzał to samo przez całe tygodnie i miesiące, hartował ciało, a wśród życia w otoczeniu natury wzmacniał i uszlachetniał duszę. Jednem słowem, myśliwy dawniejszy starał się naśladować owe starożytne łowy naszych praojców, w których, oprócz rozkoszy polowania, zaprawiano się i do rycerskiego stanu.

Czy łowy teraźniejsze spełniają te same zadania i czy teraźniejsi myśliwi poczuwają się na siłach do rycerskiego stanu, to już niech opinia publiczna osądzi. Starzy lubią gderać, jak utrzymują młodzi, z przyzwyczajenia widzą wyższość w rzeczach i wypadkach dawniejszych nad wielu zmianami, jakie nowożytna cywilizacya wprowadziła; nie śmiem więc potępiać owych cywilizacyjnych prądów i zmian w sposobie polowania, ale w obronie bronionej przezemnie przeszłości, pozwolę sobie przytoczyć kolegom myśliwym kilka wypadków z mego własnego życia, które przebyłem i wyszedłem z nich szczęśliwie tylko dlatego, że od lat najmłodszych nie znałem prawie przeszkód w zaspokojeniu żądzy polowania i na tych polowaniach zahartowałem siły i zdrowie.

Na większe i długotrwałe polowanie na kozły, dziki i łosie zaproszony zostałem przez mego brata, który zamieszkiwał w majątku, położonym w powiecie rzeczyckim i na samym krańcu gubernii mińskiej, graniczącym już z gub. czernihowską. Było to w miesiącu grudniu. Temperatura była wówczas dość ostra, ale śniegi leżały nierównomiernie, a miejscami wcale ich nie było. Koleje żelazne nie istniały jeszcze, trzeba więc było odbyć podróż, około 700 wiorst wynoszącą, nietylko ekstra pocztą, ale i z pomocą zmieniających się na każdej stacyi bryczek, lub sań pocztowych, bo użycie własnego ekwipaża, z powodu zmienności drogi, było niemożebne.

Po wyjeździe z domu z Warszawy, trafiłem na

„Mógłbym i ja zostać notaryuszem, jak każdy inny! Miałbym dom taki, jak ten oto — nie, bardziej elegancki—ogród bez kuli, z różami, z altanką, okoloną dzikiem winem, i piwnicą dobrze zaopatrzoną. Lecz mój wuj, Prosper, był zanadto oszczędny i bał się komuny, jak ognia!".

Żart ten wydał nam się za dosadny. Towarzysz nasz po raz pierwszy zdradzał upodobanie do spokoju, oraz instynkty domatorskie, które bynajmniej nie były w zgodzie z tem życiem birbanta i karciarza, które mu wyrobiły bajeczną sławę we wszystkich kawiarniach alei Lafayette'a.

— I cóż znaczy — zawołał. nieco urażony naszem zdziwieniem, — że jestem doktorem praw? Cóż znaczy. że przez dziesięć lat byłem, jako amator, dependentem u p. Soubrenade'a przy ulicy Perchepeinte, w tej arystokratycznej dzielnicy, świeżej i smutnej, gdzie zresztą nigdy nie postała moja noga. Cóż znaczy, że przez długie lata marzyłem o kupnie kancelaryi, na urządzenie której mój wuj Prosper miał dać mi pieniądze, jako jedynemu swemu spadkobiercy?

— Ależ ty nam opowiadałeś przynajmniej ze dwadzieścia razy, że twój wuj Prosper zapisał cały majątek swej gospodyni!

Lapeyrose zapalił fajkę i rzekł ze smutkiem: „Jest to właśnie ta sama historya!"

A gdy przekonał się, że fajka ciągnie dobrze, że pies jego, również stworzenie bez konkurencyi, dostał jeść i że butelka armaniaku znajduje się obok, zaczął swe opowiadanie.

„Jeszcze wtedy, gdym był na kursach, wuj Prosper powtarzał mi często:

— Skończ najprzód studya, naucz się swego fachu u p. Soubrenade'a, nie spiesz się z kupnem. Kancelarya kancelaryi nie równa. Rozważ dobrze, poinformuj się, a kiedy będzie czas po temu, przyjdź do mnie, a zrobię resztę.

„Słyszałem to tyle razy, że wszelkie obawy o przyszłość musiały się rozwiać. Zresztą lubiłem bardzo Tuluzę, lubiłem jej ruchliwe ulice, gdzie się spaceruje tak przyjemnie, lubiłem jej dziewczęta, wesołe brunetki, spotykane na każdym kroku; miałem kółko towarzyszów, lubiących się zabawić; miałem wcale ładny mająteczek. Rzuciłem się więc w nurty tego życia wesołego i łatwego, i to trwało i trwało! Powtarzałem sobie nieraz: gdy nadejdzie trzydziestka, pójdę do wuja Prospera i wtedy znajdziemy razem gdzieś w sąsiedztwie Tuluzy spokojny i pełen zwierzyny zakątek, jaką dobrą kancelaryę i jaką ładną pannę. A tymczasem pijmy, co się zmieści!

„Wiedziano o tem w całej okolicy i odbijało się to na kredycie. „Eh—mówili sobie dostawcy, myśląc o nas—oni nam zapłacą: p. Combescure, który robi w polityce, jak zostanie ministrem, p Peyramenc, jak będzie bankierem, p. de Rouzade, taki ładny mężczyzna, gdy się ożeni, i p. Lapeyrose, jak tylko wuj jego, Prosper, kupi mu kancelaryę". Dalej, naprzód!

sporą zawieję śnieżną, w dalszą więc drogę puściłem się na saniach i to saniach odkrytych, bo innych na stacyach pocztowych nie było.

Oprócz na niezbędny posiłek i zmianę furmanki, nie zatrzymywałem się ani na chwilę. Z powodu nierównej drogi, ciemności nocnych i nieostrożności woźniców, pięć razy wyrzucony zostałem wraz z rzeczami i nareszcie, po dwóch dniach i nocach jazdy bezsennej, stanąłem nad brzegiem wielkiej i szerokiej rzeki. Rzeka była pokryta lodem, ale lód był słaby. Przewoźnicy więc tamtejsi zdecydowali przeprowadzić konie oddzielnie i pojedynczo, a mnie na saniach przeciągnąć na drugą stronę z pomocą sznura. Pomimo wszelkich ostrożności, około przeciwnego brzegu lód załamał się pod ciężarem ciągnących mnie ludzi. Wyskakując z wody ludzie ci, pociągnęli do wody i moje sanie. Na szczęści woda była płytka, ale zamoczyłem się porządnie, zamoczyłem rzeczy na sobie i w walizce, i w takim stanie w dalszą puściłem się drogę.

Stanąłem na miejscu o godzinie 4-ej rano, po trzeciej, bezsennej nocy i trafiłem na przygotowane na ten dzień polowanie, na terenie o jakie dwadzieścia wiorst odległym, wyjazd więc naznaczony był na godzinę 6-tą. Rozumie się, że żadne namowy nie mogły mnie powstrzymać od udziału w tem polowaniu, rozgrzałem się i wzmocniłem zakąską i herbatą, przebrałem się w odzież brata i przez dzień cały zmęczenia nie czułem, bo w pierwszym zaraz miocie zabiłem ogromnego łosia-byka, i zabiłem w sposób niezwykły. Powaliłem go bowiem na miejscu z odległości 60-ciu kroków, i to w chwili, w której łoś w ogromnych susach przeskakiwał przez wielkie konary przewróconego drzewa, mającego jakieś cztery łokcie wysokości. Zabiłem go więc w powietrzu.

Jak z polowania przywieźli mnie do domu, nie czułem; sp łem dwadzieścia godzin z rzędu, ale w dniu trzecim zdrów i rzeźki rozpocząłem cały i codzienny szereg polowań nowych.

W przymusowej podróży mojej na Syberyę w 1864 r., trwającej przez wiele miesięcy i wśród mnóstwa różnego rodzaju przygód, wymagających zdrowia i sił niemałych, znalazłem się w mieście Tobolsku, jako punkcie centralnym, w którym gromadzono wszystkich bez wyjątku zesłańców kryminalnych i politycznych i gdzie rządził ów powszechnie znany i zacny gubernator Zenowicz, który jawnie szczycił się z należenia do narodowości polskiej, a jako człowiek prawy, umiejący godzić obowiązki człowieka i urzędnika, był dla zesłańców prawdziwym opiekunem. Za jego to staraniem pozwolono zesłańcom, pod nadzorem dodanego im żandarma, odbywać podróż do miejsca zesłania na koszt własny, z zastrzeżeniem jednakże, ażeby w ciągu tej podróży zatrzymywać się tylko na etapach, a w miastach w gmachach więziennych.

Kto naocznie widział warunki pierwszej podróży etapowej, ten tylko ocenić może owe wielkie dobrodziejstwo, jakie pozwolenie takie zesłańcom wyrządziło, to też skorzystali z niego ci wszyscy, którzy byli w możności zgromadzić wymagany na to fundusz, bo w tego rodzaju podróży spoczywała nadzieja zdrowia, życia i możność ujrzenia kiedyś ro dz ny i stron ojczystych.

Z drugim towarzyszem puściliśmy się w taką podróż przez Tomsk do Krasnojarska, a zatrzymując się na etapach, byliśmy szczęśliwi, jeżeli mogliśmy zdobyć jakieś lepsze pożywienie, albo wolne, czystsze miejsce na podłodze dla wypoczynku i rozłożenia pościeli, składającej się z dywanika i torby podróżnej.

W więzieniu w Tomsku zatrzymaliśmy się dni kilka z powodów formalności urzędowych i potrzeby odżywienia się na podróż dalszą. Przed wyjazdem uczułem się więcej zmęczonym, aniżeli kiedykolwiek, ale pomimo tego ruszyliśmy w drogę.

W kilka godzin później ogarnęła mię ogromna, zwiększająca się gorączka, dochodząca aż do utraty przytomności, następnie zaś pokazała się wysypka na całem ciele, która uwydatniła chorobę ospy naturalnej.

Zatrzymać się w drodze i uciec się do opieki lekarskiej było rzeczą niemożebną, bo pomoc lekarska zaledwie tylko w miastach gubernialnych znaleźć się dawała, a umrzeć pragnęło się wśród kółka swoich. Od Tomska do Krasnojarska dzieliła nas p zestrzeń, siedmset kilkadziesiąt wiorst wynosząca, całą więc chorobę przebyłem na odkrytych saniach i wśród silnego mrozu.

Po siedmiu dniach takiej podróży przybyłem do więzienia w Krasnojasku, gdzie umieszczono mnie w szpitalu więziennym. Przybyłem tam w takim już

I dawano na kredyt nawet Combescuer'owi. A zresztą jemu jednemu tylko się udało; Peyramenc handluje korkami, de Rouzade wstąpił do legii cudzoziemskiej, a ja handluję winem z Béziers!

— Widocznie, że tylko polityka udaje się Tuluzyjczykom! — zauważył la Rivière, lecz go wygwizdano.

Lapeyrose ciągnął dalej, wzruszywszy ramionami:

„Dwa razy na miesiąc jeździłem do Pibrac dla spędzenia dnia całego u wuja Prospera. Jeździłem, co prawda, za często. Wuj mój, jak to wam powiedziałem, był bardzo oszczędny. Podczas oblężenia, znalazł się on w Paryżu, a nie mogąc w porę wyjechać, był świadkiem wypadków 18 marca, siedząc w głębi jakiejś piwnicy, zkąd wyszedł dopiero po rozbiciu Komuny. Z tej jednak swojej kryjówki musiał on widzieć wiele rzeczy strasznych, i dzięki swemu heroizmowi naturalnemu był prawdopodobnie nieraz skompromitowany, gdyż zachował wspomnienia wymowne i dramatyczne z tego okresu swego życia; jego imaginacya została niemi przesiąknięta, a obawiając się jeszcze większych klęsk rewolucyjnych, w przewidywaniu przyszłych zamieszek, schował starannie paczkę starych ładunków kaliber 16 w skrzynce, w głębi swego szpichlerza!

— Zapewne do obrony?

— Ale bynajmniej! Aby ukryć przed okiem „wywłaszczycieli“ poważną sumę złota, którem ładunki były napchane. Przypominam sobie, jak dziś, ten dzień, kiedym odkrył ten skarb. Otworzyłem skrzynkę i wypatroszyłem jeden ładunek, szukałem bowiem „maczku“ do strzelania drozdów w sadzie. Zobaczycie zaraz, że to był maczek drogocenny. Pokusa była wielka. Zgrałem się właśnie poprzedniej nocy w baka i brakło mi z czego żyć do końca miesiąca. Pomyślałem sobie, że pieniądze te leżą nieprodukcyjnie, że je mogą znaleźć złodzieje. Nie zawsze przecież można dowierzać służbie! Byłem spadkobiercą, i to jedynym spadkobiercą wuja Prospera. Wziąłem więc sobie jeden ładunek.

„Był to fałszywy krok; a przytem tak łatwy! Sumienie moje, dzięki temu powierzchownemu rozumowaniu i innym jeszcze względom, było zupełnie spokojne. Potrzeba jest prawem; zmuszony byłem wziąć awans z mego dziedzictwa; uczuwałem potrzebę rozumowania, awans dawałem sam sobie, a co do rozumowania!...

„Od tego czasu, jeśli tylko nie szło mi w karty, jeśli wypadła jaka eskapada koleją żelazną, w tej chwili odbywałem podróż do Pibrac! Wuj przyjmował mnie butelką swego najlepszego wina; po śniadaniu korzystałem z jego drzemki i otwierałem skrytkę.

(Dok. nast.).

stanie choroby, który żadnego niebezpieczeństwa nie przedstawiał, a wywołał tylko podziw tamtejszych doktorów. Oglądali mnie i rewidowali, jak jakiś okaz nadzwyczajny.

Żyję już bardzo długo, doktorów szanuję, ale do ich pomocy lekarskiej nie uciekałem się nigdy, a wszystko to zawdzięczam głównie dawnemu sportowi myśliwskiemu.

Ale wróćmy do polowań w gubernii mohylowskiej, od których, stary gawędziarz, odbiegłem.

(C. d. n.). *L. Łasecz.*

WYPRAWA MYŚLIWSKA

do krainy Massai.

Przez

Edwarda Trojanowskiego.

(Ciąg dalszy).

Spożywając swoje śniadanie, złożone z bardzo prostych potraw, aczkolwiek niezmiernie podejrzanie wyglądających, dowiaduję się, że właścicielem onego przybytku, t. j. hotelu, jest pan Majer, który, po bardzo burzliwych przejściach w Transwalu (podobno sobie coś przywłaszczył, co nie było jego własnością), emigrował pośpiesznie i osiadł w Mombassa, stając się tu bardzo szanowanym i poważanym obywatelem.

Wkrótce też *in persona* zjawia się p. Majer przy moim stole z oświadczeniem gotowości swych usług.

Wiadomość, że celem mojej podróży jest wyprawa myśliwska, zda się, jak balsam, spłynęła na szanownego właściciela Grand-Hotelu. Pochwalił też uroczyście mój projekt i aczkolwiek sam nigdy nie brał udziału w tego rodzaju przyjemnościach (tak mu bowiem wypadło), niejedną już przygotował wyprawę i wszystkiego, o czem dusza myśliwego zamarzy, podjął mi się dostarczyć, oraz wskazać miejscowość, najobfitszą w zwierzynę.

Wysłuchawszy pobożnie nadzwyczajnie wymownego p. Majera, udałem się tego samego dnia do komisaryatu Wielkiej Brytanii, w celu otrzymania pozwolenia na polowanie.

Przy tej sposobności zrobiłem bardzo miłą znajomość z pomocnikiem komisarza, p. Trittonem, który mi obiecał w ciągu kilku dni dostarczyć potrzebnych dokumentów.

Powróciłem więc do hotelu, w celu skompletowania moich zapasów. P. Majer, przyznać się muszę, na czele czterech Goanezów bardzo energicznie zabrał się do dzieła. Zapasy swoje postanowiłem ograniczyć do 10 skrzynek, po 80 funtów każda (tyle bowiem z łatwością udźwignie krajowiec), zawierających konserwy mięsne, jarzyny i owoce suszone. Wszystko to miało być niesione na głowach murzyńskich, albowiem konie lub wielbłądy nie istnieją tak dobrze, jak wcale w tym kraju, z powodu muchy „tse-tse". Resztę mych bagaży stanowiły namioty, składany stół, łóżko obozowe, dwa krzesła, wanna gumowa, 2 skrzynki z nabojami, filtr, oraz przybory fotograficzne. Dla wymiany z krajowcami postanowiłem zabrać kilkanaście sztuk perkalu, oraz spory zapas paciorków. W godzinę już na wsze strony słychać było zgrzyt pił i uderzenia młotków przy zbijaniu skrzyń, nad któremi pracowało w pocie czoła kilku Indusów; znoszono konserwy i ustawiano je na ogromnym stole. Wszystko to miało być pod moim osobistym nadzorem ułożone i zapakowane do skrzyń.

Gdy słońce miało się już ku zachodowi, przebrawszy się i umywszy z grubej warstwy kurzu, udałem się do misyi katolickiej, z zamiarem zasięgnięcia wiadomości o kraju, do którego za parę dni miałem wyjechać.

Ojciec Schmidt (przełożony) rodem z Alzacyi, bardzo miły i sympatyczny staruszek, przyjął mnie niezmiernie gościnnie. Na werendzie, ocienionej palmami i prześlicznemi, pnącemi roślinami, przy butelce doskonałego wina, które ojcowie sami fabrykują w Algie ze. spędziłem parę godzin. Ojciec Schmidt, nie będąc sam myśliwym, przywołać kazał jednego z braciszków, który duże odbywał podróże w głąb kraju, i ten, zdaje się, znał doskonale.

Rozmowa, rozumie się, toczyła się przeważnie na temat polowań. Braciszek radził mi również udać się koleją do Athy River Station, odległej o niespełna 24 godzin drogi od Mombassa, i ztamtąd, trzymając się łożyska Athy, iść jej brzegiem w kierunku południowo-wschodnim.

Nie mając dokładnie wyznaczonego planu drogi, postanowiłem posłuchać rady, tembardziej, że już niejednokrotnie słyszałem o olbrzymiej ilości zwierzyny, która się ma w tamtych stronach znajdować.

Z dalszej rozmowy dowiedziałem się, że braciszek ów, będąc przed kilku laty w misyi w Bagamoyo, poznał Sienkiewicza, który tam polował na hippopotamy.

O dobrym już zmroku pożegnałem gościnnych ojców-misyonarzy i powróciłem do hotelu.

Misye katolickie są jedyne, które się cieszą ogromną sympatyą wśród krajowców, i gdy protestanckie i amerykańskie zaledwie wegetować mogą, nic prawie nie zrobiwszy dla kraju przez całe lata istnienia i ogromnych subsydyów, katolickie same się utrzymują, a ojcowie cieszą się niezmiernem poszanowaniem za swą gorliwą pracę przy szerzeniu nietylko wiary, lecz i oświaty w najbardziej zapadłych i niezdrowych zakątkach tej ziemi. Cześć im oddają nietylko krajowcy, których bardzo wielu nawrócono na wiarę katolicką, lecz i Europejczycy innych wyznań, tutaj osiedli. Ja sam wieleż dobrego doznałem przed rokiem, zapadłszy wśród dżungli Cejlonu na tyfus.

Niezmiernie rozczulającą jest Msza św., na której byłem dnia następnego. Była to niedziela i Msza odbywała się w kościele, przyległym do misyi. Z wyjątkiem kilku Europejczyków, zebrani w świątyni byli tuziemcy o przepysznym, ciemno-bronzowym kolorze skóry, oraz znaczna ilość Goanezów w malowniczych swych strojach. Szczególnie kobiety tych przybyszów z Indyj, których tu znaczna ilość osiadła, i handel, oraz wszelkie podrzędniejsze urzędy w swych rękach trzymają, odznaczają się nadzwyczajną urodą i ślicznymi, barwnymi ubiorami. Dwóch czarnych wyrostków służyło ojcu Schmidtowi do Mszy św. i w białych swych ubiorach przepyszny stanowili obrazek.

Dwa następne dni zeszły mi na uciążliwej pracy przy przygotowaniu mej wyprawy.

Z ludzi postanowiłem zabrać z sobą tylko służącego i kucharza. Reszta, w liczbie czterdziestu, miała być zwerbowaną w Athy River Station, lub odległem ztamtąd o kilkanaście mil ang. Nairobi, i dzień wyjazdu nadszedł.

Skrzynie z zapasami i namioty zostały naładowane i około południa znalazłem się w dość wygodnym wagonie Uganda-Raylway.

Służący mój, Hamis, piastujący z godnością świeże swoje stanowisko, ze zwieszonym przez plecy aparatem fotograficznym i latarnią w ręku, oraz Tom, towarzysz jego, mający pełnić obowiązki kucharza, mieli odbywać jednocześnie podróż razem ze mną. W nowych garniturach z angielskiego płótna i nowych tarbuszach stanowili mą przyboczną gwardyę, a ponieważ mówili nieco po angielsku, więc służyć mi mieli za tłomaczy.

Dość punktualnie pociąg ruszył. Linia kolejowa biegnie z początku przez bogato tropikalną roślinnością pokryte wzgórza, raz jeszcze z okna wagonu ukazuje się błękitna toń morza, którą żegnam nie bez uczucia rozczulenia. Mijamy kilka stacyj, na których po parę minut nasz pociąg się zatrzymuje.

Słońce, które nam pionowo przesyła swe promienie, poczyna zwolna chylić się ku zachodowi, i przez otwarte drzwi wagonu, wraz z tumanami kurzu, wpada przyjemny powiew wiatru.

Ze zmrokiem stajemy na stacyi „Noi", zkąd droga karawanowa prowadzi w okolice Kilimand'jaro. Niestety, największego tego afrykańskiego wulkanu, który w dzień doskonale jest ztąd widocznym, nie można dojrzeć, z powodu nocy, z iście tropikalną szybkością zapadającej.

Tu również oczekuje nas kolacya, przygotowana w domku nieopodal dworca kolejowego.

(C. d. n.).

ROZWÓJ ŁOWIECTWA.

Łowiectwo było niegdyś osobnym fachem. Przedstawiało się ono znacznie odmienniej, niż dziś. To, co my osiągamy za pomocą strzału, dawniej musiano osiągać zupełnie innemi drogami. Sidło odgrywało w tych razach najważniejszą rolę. Na grubszego zwierza szli łowcy z psami i oszczepem, lub toporem. Rzadko był używany łuk, ale używano go także. Dziś jednakże wyszedł on w Europie zupełnie z użycia i ledwie gdzieś na Północy jeszcze się niektóre szczepy nim posiłkują. Początkowo łuk składał się z drzewa, z gałęzi zgiętej w pałąk, i cięciwy, czyli struny, łączącej rozstrzelone końce. Potem Fenicyanie wynaleźli do niego osadę, na którą kładziono strzałę. Formy łuków były najrozmaitsze; ten ostatni, o którym mówiliśmy, nazywa się „kuszą". Po wynalezieniu broni palnej w XVI wieku, długo bardzo myślistwo obywało się bez niej, gdyż nie była praktyczną. Na drobną zwierzynę zastawiano sieci lub pętle, na ptactwo—sidła i samołówki. Grubszą zwierzynę łowiono zwykle w doły. Niektóre z tych sposobów przechowały się dotąd u naszego ludu. Najdawniejszą niezawodnie będzie pętla, zastawiona w krzakach, jak dziś na lisa, a najczęściej na zająca. Samołówki, to środki po większej części barbarzyńskie, gdyż kaleczą zwierza. Te winniśmy zupełnie skasować, mając tak udoskonaloną broń myśliwską, udoskonaloną przez tyle lat, wynalazek bowiem sięga XVI wieku. Kroniki podają rok 1320, w którym mnich Bertold Szwarc proch wynalazł. Proch nie dał odrazu broni; była to dopiero materya wybuchowa, którą potrzeba było zużytkować odpowiednio. Wystawy broni wykazały, że dopiero w 1365 roku zrobiono pierwsze samopały margrafowi miśnijskiemu. Miał on i inne okazy broni, a między nimi armaty i rusznice, nabijane ołowianemi kulami. Używanie i zastosowanie broni dopiero ku końcowi XV-go, a rzeczywiście w początkach XVI-go wieku weszło w modę. W 1498 r. istniała już w Lipsku strzelnica, a w niej miały być karabiny, których wynalazek przypisano Kacprowi Zollnerowi z Wiednia. Karabiny te były większe i mniejsze.

Do Polski broń palna przedostała się wcześniej, niż inne gałęzie przemysłu, niż inne wynalazki. Napewno możemy powiedzieć, że Kazimierz Jagiellończyk używał broni, a nawet za jego panowania założono ludwisarnię i wiercalnię dział we Lwowie, o czem świadczy Ambroży Grabowski, który odgrzebał nawet kilka nazwisk rusznikarzy krakowskich z XV-go i XVI go wieku. Mieli oni tam nawet swój własny cech, otwarty, o ile nam się zdaje, przed 1530 rokiem, potwierdzony potem przywilejami Zygmunta III-go.

Z prac Ambrożego Grabowskiego notujemy tu nazwiska tych pierwszych puszkarzy, z których Nicolas pracował w 1455 r. i zwał się „królewskim nadwornym rusznikarzem", następnie Hans Wajs, pracujący około 1511 roku, i Ludwikus Petroni, również puszkarz nadworny, żył w r. 1538.

Za Zygmunta III-go przełożonymi zgromadzenia puszkarzy byli: Jan Krzywy i Grzegorz (Gregier) Wileński.

Oprócz Lwowa i Krakowa, i inne miasta posiadały zakłady puszkarskie. W Kielcach mamy ślady puszkarzy z 1612 r., w Sochaczewie wcześniej jeszcze, bo w XV-ym w., był cech rusznikarzy i „łukowników", w XVI-ym w. w Drohobyczu.

Na Litwie w Kobryniu osiedlili się oni około 1563 r. Wyroby zaś Hrycka Senkowicza, majstra z Włodzimierza, słynęły niegdyś jako najsławniejsze, a i w Mohylowie są ślady puszkarzy już za Stefana Batorego. Królowie polscy chętnie popierali puszkarzy, o czem najdowodniej świadczy przywilej Zygmunta III-go. „Zważając, iż to jest wielkim pożytkiem państwa naszego, gdy jaknajwięcej rzemieślników zdolnych w sztuce robienia strzelby mieć będziemy, przeto, odwołując postanowienie rajców krakowskich, rusznikarzom osobne kontuberium mieć, oraz od zgromadzenia pasamoników oddzielić się dozwalamy, tudzież osobny cech im postanawiamy".

Jakkolwiek rusznikarstwo od tak dawna rozwinęło się w Polsce, wyrobów jego nie używano do łowiectwa, ale przeważnie służyły one do obrony Rzeczypospolitej.

I nie dziwmy się temu; broń dla łowców i myśliwych była bardzo niedogodną i niebezpieczną, nie chcieli się przeto nią posiłkować. Wreszcie Francya poczęła używać broni myśliwskiej dopiero w roku 1554-ym.

W Niemczech niezawodnie weszła ona w użycie jeszcze później, a w Polsce dopiero w XVII w. I nic dziwnego, w borach było zwierzyny dosyć, łowy łatwe, nie potrzebowano przeto używać pomocniczych narzędzi świeżych, kiedy i dotychczasowe wystarczały. Wprowadzono broń wtedy, kiedy zamiast lontu, wynaleźli Francuzi udoskonalony zamek.

Nowy gatunek psa dzikiego.

Francuskie czasopismo specyalne „L'Acclimatation" podaje opis nowo-odkrytego psa dzikiego w rzeczypospolitej Ekwator w Ameryce południowej. Chodzi tu o zwierzę, należące do odmiany „Icticyon", której znano dotąd jeden gatunek tylko w nielicznych egzemplarzach, brazylijskiego psa dzikiego, *I. venaticus*. Nowemu gatunkowi nadał paryski zoolog, Trouessart, nazwę *Icticyon (Speothos) Riveti*; proponowana jest także osobna nazwa podrodzaju *Microcyon*.

Nowoodkryty pies dziki ma dlatego szczególne znaczenie dla kinologów, że daje rozszerzony pogląd na historyę rozwoju rasy psiej. Wydaje się on typem przejściowym od typu, który pozostał niegdyś na stałym stopniu rozwoju, do tej formy prastarej dawnych okresów w dziejach naszej ziemi, od której to formy powoli przez ostrzejsze różniczkowanie się wytworzyły się rozmaite gatunki rodziny psów, a zatem gatunki: *Canis* (psy właściwe), *Cyon*, *Lycaon* (psy—hyeny), *Lycalopex*, jako grupy pośrednie mię-

dzy gatunkami *Vulpes* (lisy) a *Fenecus;* wreszcie gatunki daleko sięgające pod względem historyi ras, *Nycterentes* (psy — kuny), *Otocyon* (psy łyżkowate) i *Icticyon*.

Jako wspólna grupa rasowa wszystkich obecnych mięsożernych, uważana jest grupa *Oligocauen*, a zatem żyjących w drugiej epoce historyi ziemi staro-trzeciorzędowej *Cynodictiden* (psy-viverry). Daje się ona zaliczyć znowu do warstw pod-eocenicznych, czyli pochodzących z najstarszych pokładów trzeciorzędowych kreodontów, do miacidów. Wspomniane wyżej cynodiktidy nie były jeszcze zwierzętami, chodzącymi na palcach, lecz na stopach. (Nawiasowo dodajemy, że rodzaj chodzenia na stopach, aczkolwiek z powodu zniedołężnienia, spotykamy czasami u psów, które karmiono paszą beztreściwą, gąbczastą i które nie miały sposobności biegania po twardym gruncie; drobne pazury i wysokie, proste nogi stanowią wytwór sztuczny, a przeto tendencya do kształtowania się wstecznego oznacza nietylko osłabienie, lecz także odezwanie się wsteczne natury, jak również da się to powiedzieć o krótkiej mordzie i zmniejszeniu uszu). Cynodiktidy zjednoczyły się w cechach znamiennych obecnie rozproszonych, lecz wspólnych grupom rodzin, pochodzących od Cynodiktidów, — psów, niedźwiedzi i kotów pełzających. Psy i niedźwiedzie zostawały w połączeniu aż do stopnia środkowego amficyonów, z rasy zaś pełzającej odłączyły się koty, hyeny i kuny.

W rzeczywistości też budowa nowoodkrytych kanidów przypomina więcej budowę drapieżnika kunowatego, niż psa. Tułów podłużnie rozciągnięty i przesklepiony, leżący na nizkich nogach, ogon nieproporcyonalnie długi, płasko ściśnięty i tępy, jakby za krótko ucięty, a nie stopniowo się zmniejszający, bez żadnej kiści na końcu, — wskazują na zewnątrz małe do psa podobieństwo.

Długość samca, nie zupełnie jeszcze wyrosłego, od końca nosa do nasady ogona, wynosi 45 centymetrów; długość samego ogona — 18 centymetrów. Brehm podaje dla brazylijskiego psa dzikiego u osobnika nawpół wyrosłego, wysokość grzbietową około 30 ctm., przy mniej więcej podwójnej długości tułowia. Brehm podaje także nieco szczegółów, oczywiście bardzo niedokładnych, o życiu brazylijskiego Icticyona. Pędzi on życie nocne w najgęstszym lesie dziewiczym, a według podania Indyan, psy te polują stadem całem. Taki pies leśny, złowiony w młodości, przebywał w londyńskiem „Zoo“, zachowując się jak szczenię, żądne zabawy.

Natomiast pod względem ustroju zębowego nowoodkryty pies dziki jest podobny zupełnie do normalnego psa, aczkolwiek nie ma ostatnich trzonowych, co podobno ma łączność ze zmniejszeniem części mordy. Podobny ustrój mordy, jak przy Icticyonie, znajduje się także u Lycaona, psa hyenowatego, i u gatunków cyonowych, które również w eocenie odłączyły się od rasy psów właściwych. Te ostatnie, do których należą wilki, psy włącznie z rasą domowych, szakale oraz gatunki południowo-amerykańskie *Thous cancrivorus* i *microtis*, rozwinęły się dopiero w wyższym *miocenie*, a zatem w stosunkowo młodszych warstwach trzeciorzędowych.

Ubarwienie nowoodkrytego gatunku podają jako jasno-szare, popstrzone czarnem; uwłosienie oznaczają jako swoiste: ciasno zamknięte, cienkie i miękko-wełniste, podobne do uwłosienia zwierząt workowatych i półmałp, które, jak wiadomo, przedstawiają również przeżytki, reprezentujące prastare formy pierwotne. Należy tu wspomnieć, że i młoda sierć naszych szczeniąt, uwłosienie mleczne, odpowiada temu, co powyżej opisano, i że powoli zamienia się na sierć prawidłową, dłuższą, wskutek wzrastania psa.

K—s.

Nowy środek tępienia królików.

(Wynalazek naszego rodaka).

Z powodu znacznego rozmnożenia się królików w Australii, gdzie stanowią istotną plagę trapiącą pozostały zwierzostan, zaczęto je tam tępić masowo różnymi sposobami i wreszcie wynaleziono nowy środek tępienia królików, który ma być nader skuteczny, a dla nas tem ciekawszy, że wynalazcą jest nasz rodak, dr. Danysz.

O środku tym donoszą pisma zagraniczne, co następuje:

W Australii rozmnożyły się niezliczone miliony gryzoniów. Teraz jednak nareszcie kraj uwolni się od tej straszliwej plagi. Czego nadaremnie dokonać usiłował slynny Pasteur, to uczynił dr. Danysz z Paryża po eksperymentach, które trwały 9 miesięcy na bezludnej wyspie Broughton (na północ od Sydney). Wynalazł on materyał śmiercionośny, który udziela się od jednego królika do drugiego, tępiąc wszystkie zarażone.

Tak przynajmniej opiewał raport d-ra Danysza, gdy jeszcze bawił na wyspie ze swymi towarzyszami.

Australia narobiła sobie niemało kłopotu wprowadzeniem do siebie szeregu zwierząt europejskich. Lisy tak strasznie się rozmnożyły, że myśliwy często jednego dnia ubić może 10 do 20 sztuk. Wróble, które miały zająć miejsce papug, unikających miejscowości zaludnionych, stały się obecnie, obok srok *(Magpies)* najgorszymi szkodnikami lasów owocowych, gdyż ptaki te są tu tak liczne, jak ziarnka piasku nad brzegiem morza. A teraz znowu króliki!

Głownem bogactwem Australii są stada bydła. Lecz króliki dla nich są najniebezpieczniejsze, gdyż objadają pastwiska do ostatka, wygryzają korzenie, podkopują grunt, z powodu czego konie i woły łamią nogi. Króliki niszczą także drzewa i krzaki, ogryzając je z kory, jak daleko tylko mogą sięgnąć. Całe życie roślinne niszczą na długie lata, gdzie tylko się osiedlą.

Naturalną rzeczą jest więc to, że farmerzy razem z władzami próbują wszystkiego, żeby opanować strasznego wroga. Strzela się zatem króliki masami, łowi je w pułapki, kładzie truciznę w nory, ba, nawet się zatruwa wodę tam, gdzie pić przychodzą, tak, że padlina ich tworzy wysokie wały nad brzegami. Pastwiska ogrodzono parkanami drucianymi, nieprzepuszczającymi królików, gdyż kolczaste końce tego ogrodzenia sięgają tak głęboko do ziemi, że fatalne gryzonie w żaden sposób nie mogą się podkopywać.

Podczas siedmiolecia od 1889 r. do 1896 r. wydano tam olbrzymią sumę, 8 milionów rubli, na środki ochronne i tępienie królików. Na urządzenie parkanu drucianego na przestrzeni 1,600 kilometrów wydano 500,000 rb. Ale to wszystko nadaremnie! Wtedy ogłoszono, że państwo da 250,000 rb. nagrody temu, kto wynajdzie pewny środek przeciw królikom, farmerzy zaś od siebie dodali nagrodę w sumie 125,000 rb.

Zgłosił się pierwszy profesor Danysz, zarządzający oddziałem instytutu Pasteura w Paryżu, a zajmujący się wyłącznie badaniami bakteryologicznemi, przyczem osiągnął już znakomite rezultaty w walce przeciw pladze szczurów w Odesie w r. 1903 przez hodowlę bakcylusa.

Rząd australijski zawarł natychmiast umowę z d-rem Danyszem, któremu wypłacił 10,000 rb. na przygotowania i zobowiązał się płacić po 2,000 rb. miesięcznie przez 2 lata na prowadzenie badań. Na zakup potrzebnych przyrządów przeznaczono 6,000 rb., a pomocnikowi wyznaczono pensyę w ilości 350

rb. miesięcznie. Badaczowi oddano do celów doświadczalnych bezludną, lecz blizko wybrzeża położoną wyspę Broughton. Po upływie 5 miesięcy badań, dr. Tidswell, zarządzający departamentem sanitarnym, mógł już ustalić, że zakaźny materyał chorobotwórczy działa zabójczo na króliki, nie szkodząc wcale innym zwierzętom, nawet gdy im jad zaszczepimy. Karmiono umyślnie prosiaki razem z chorymi królikami bez szkody dla pierwszych, które nawet lepiej się tuczyły. Wreszcie mógł dr. Danysz donieść do Sydney, że należy uważać doświadczenia za udatne i zadanie za rozwiązane. Jednakże przez jakiś czas ulepszał jeszcze wynalazek, aż w końcu złożył oświadczenie, że za pomocą tej zarazy sztucznej można wytruwać tysiące i miliony królików.

Jerz.

Z życia wilków karpackich.

Skreślił

JAN MARCINKÓW

delegat pow. dolińskiego.

(Ciąg dalszy).

Po półtoragodzinnym marszu przyszedłszy na miejsce, na którem się wilk przechorował, ku memu niemałemu zdziwieniu, spotykam świeże ślady wilka i brak leżącego ścierwa. A że już zmrok zapadał, a do domu było jeszcze daleko, następnego zaś dnia straszna zawierucha śnieżna uniemożliwiała tropienie, zaniechałem dalszego poszukiwania. W lecie dopiero owczarze odnaleźli już prawie zupełnie zgniłego wilka, w oddaleniu około kilometra od miejsca, gdzie ścierwo powtórnie spożył.

Tak więc ze zgrai 7 wilków padło 5, a pozostały jeszcze dwa, czyli parka, stary pies i stara suka, które nie dały się w żaden sposób „wziąć na kawał".

Parka ta włóczyła się po lesie, robiąc spustoszenia w zwierzostanie przez całą wiosnę, lato i następną zimę, nie chcąc nigdzie dotknąć zatrutego ścierwa.

Dziwnym zbiegiem okoliczności suka ta pozostała jeden rok jałową, zapewne, aby nabrać sił do wydatniejszego, następnego miotu.

I faktycznie tak się stało. W następnym roku powiła nie mniej, nie więcej, tylko 9, mówię dziewięć malutkich szczeniaków. Pewien owczarz, który z owcami dzień i noc na poblizkiej połoninie przebywał, usłyszawszy wycie starych wilków, a następnie skomlenie młodzieniaszków, podsunął się następną, dzienną porą, uzbrojony w siekierę i spory kij, aż pod ich legowisko tak blizko, że mógł szczenięta policzyć, jednakowoż, zobaczywszy starą „mamusię" nadciągającą, zmykał ze strachu czemprędzej do swego szałasu, a ztamtąd w galopie do mnie do leśniczówki, oddalonej o dobre dwie godziny chodu.

Na tak miłą wiadomość, udałem się natychmiast w towarzystwie strażnika na miejsce, układając już po drodze plany, jak to szlachetnych rodziców położymy trupem, a dziatwę spakujemy do worka, a następnie gdzie do jakiej menażeryi wyekspedyujemy.

Po prawie trzygodzinnym marszu dotarliśmy do wilczego barłogu, jednakowoż jakie było nasze rozczarowanie! O wilkach już ani śladu, tylko trochę suchej podściółki z trawy i turzycy z samury. Troskliwa, a nader nerwowa mamusia, poczuwszy pewien niepokój przez dostęp ludzkiej nogi, t. j. owczarza, zabrała familię i uniosła w niewiadomym kierunku, gdzieś w niedostępne wertepy zworów i skał karpackich. Wszelkie przeszukiwania, nawet przez kilka dni, spełzły na niczem.

Od czasu do czasu słyszałem wycie starych wilków, nawet miejscami dość często napotykałem rozdarte łanie, jednakowoż zdybać się z nimi osobiście nie miałem przyjemności.

D. 10-go lipca tegoż samego roku, o godz. 11-ej przed południem, siedząc na ganku, spostrzegłem naprzeciw pomieszkania, w odległości 300 kroków całą czeredę piesków burego koloru, wszystkie jednej maści, maszerującą ścieżką konną po uboczy góry.

W tej chwili porwałem za strzelbę, zabrałem ze sobą jeszcze jednego chłopa, gdyż wiedziałem dobrze, co to za gocie.

Niestety jednak, nim zdołałem dotrzeć do miejsca, gdzie bandę widziałem, zastałem tylko ślady na błocie całej czeredy młodych wilków, które, pod dowództwem pieczołowitej mamusi, a może tatusia, maszerowały na dół; gdzie się jednak podziały, nie było możliwem odszukać, gdyż maliniaki i ożyny zwyż metrowej wysokości uniemożliwiły wszelkie dalsze poszukiwania.

Tak więc ta zgraja wilków urosła do jesieni do potężnej siły wraz z „rodzicami" — w liczbie 11 i sprawowała się w rewirze całkiem odpowiednio, jak na nią przystało.

W październiku osierocił familię jeden strażnik sąsiedniego okręgu gospodarczego z Polanicy, zabijając i wyrywając z grona rodziny „tatusia",—została więc „wdowa" z dziewięciorgiem „sierotek".

Co ta banda przez zimę za spustoszenia robiła, to straszne pomyśleć, co chwila można było spotykać łanie lub jelenie rozdarte, i to jej wszystko uchodziło płazem.

Przy intensywnej manipulacyi leśnej, która wogóle zimową porą w kolosalnym rewirze mizuńskim się odbywa, trudno mi było, wskutek pilnych, a ważniejszych zajęć gospodarczych, poświęcić więcej czasu na tępienie tych drapieżników, więc chwilami od czasu do czasu pozatruwałem resztki łań, jednakowoż wilki tego nie tykały, bo nie miały potrzeby i gustu na skostniałe od mrozu ścierwa, jeśli co chwila mogły mieć świeżą pieczeń.

Gdy jednak zanadto zaczęła mi ta zgraja grasować po lesie, poświęciłem jeden tydzień, rozkładając w kilkunastu punktach najrozmaitsze smakołyki dla wilków, bo wilk jest poniekąd smakoszem.

A więc porozkładałem pozatruwane zające, sarny łanie, barany, gęsi, kaczki, indyki psy, koty i t. d.

Niestety, wszystko nadaremne, pomimo że wszelkie ostrożności co do odwietrzenia śladów nóg i rąk, jaknajściślej zachowałem.

Nie mając jednak czasu zajmować się dalej temi trutkami, odniosłem się do zarządu, względnie dyrekcyi, z prośbą o wydelegowanie jakiego specyalisty, któryby się wyniszczeniem tej zgrai wilków zajął.

W krótkim czasie więc wydelegowano jednego „kunstmistrza" w osobie c. k. leśniczego L. z Jabłonowa, który coś około 85 wilków miał już zniszczyć.

Gdy tenże zjawił się i zasięgnął odemnie bliższych informacyj co do poczynionych kroków tępienia, oświadczył mi, że jego wiedza i „kunszt", nawet tak daleko nie sięga, i że nie może zrozumieć, dlaczego wilki trutek nie biorą.

Przespacerowawszy się następnego dnia przez rewir, gdzie w ciągu dnia nie mógł nawet czwartej części poprzecznej drogi rewiru przejść, i gdy zobaczył prawie niezmierzone morze lasu i niebotycznych gór przed sobą, a w dodatku prawie na każdym kroku tropy jeleni, otworzyły mu się oczy i przekonał się, co za kolosalna trudność wilka w Karpatach dostać.

Po dłuższej naradzie spróbował jeszcze jednego ze swoich najradykalniejszych środków, a mianowi-

cie, zastrzelić barana, włożyć na dwanaście godzin do obornika, następnie zatruć strychniną, wywlec na przesmyki wilcze i ustawić na kołeczkach tak, aby się zdawało że baran stoi na nogach. Spróbowano więc i tego; jednakowoż bezskutecznie, ale też i dziwny był to zbieg okoliczności, jak długo p. L. bawił w Sołotwinie, t. j. przeszło 8 dni, tak ani jeden wilk się nie pokazał; równocześnie zaś z jego odjazdem t. j. tego samego wieczora, spędziły wilki łanię na rzekę i rozdarły.

(C. d. n.)

(„Łowiec").

Nowe prawo myśliwskie dla Prus.

W ubiegłym miesiącu sejm pruski obradował trzy dni nad sprawą wprowadzenia licznych zmian do pruskiej ustawy myśliwskiej. Wszystkie zaproponowane zmiany zostały przyjęte. Główniejsze zmiany dotyczą sprawy dróg, kanałów i torów kolejowych, sąsiadujących z rewirem myśliwskim; odszkodowania i przynależności ptaków drapieżnych, zabitych, lub złowionych za zezwoleniem władzy policyjnej, jako wyrządzających szkodę w sąsiednich polach.

Zniesiono dawne prawo, że można utworzyć gminny rewir myśliwski na przestrzeni nieobejmującej nawet 75 hektarów, jeżeli ziemia leży w pobliżu lasów i jest narażona na znaczne szkody przez zwierzynę. Dalej poruszono sprawę rybactwa w połączeniu z polowaniem, gdy właściciele stawów zarybionych i jezior, starają się o pozwolenie na ubicie wszelkiej zwierzyny w pobliżu, o ile jest szkodliwa dla gospodarstwa rybnego. Postanowiono, w razie kolizyi na tym punkcie między rybactwem a myślistwem oddać sprawę do rozstrzygnięcia władzom lokalnym.

Dalej postanowiono podwyższyć opłatę za świadectwo myśliwskie do 100 marek rocznie i do 20 m. za jednodniowe pozwolenie. Taka jednak opłata nie obowiązuje krajowców ani obywateli rzeszy niemieckiej, ani też tych cudzoziemców, którzy posiadają w Prusach ziemię i płacą przynajmniej 150 marek podatku rocznego. Jednodniowe pozwolenie traci wartość po upływie 3 dni od wydania.

Następne zmiany dotyczą spraw: odszkodowania za straty, wyrządzone przez zwierzynę, ochrony zwierzostanu, zarządzania łowiectwem i t. d.

Prawo nie rozciąga się na prowincyę hannowerską, ani na wyspę Helgoland, oraz na ziemie, należące do rodziny cesarskiej, które rządzą się odrębnymi przepisami lokalnymi co do uprawy łowiectwa.

Jako uzupełnianie tego prawa przytaczamy statystykę świadectw myśliwskich w Prusach. Od d. 6 kwietnia 1906 r. do d. 31 marca r. b. wydano w Prusach 182,195 świadectw myśliwskich. Z tego było 158,770 rocznych i 23,465 dziennych. Cudzoziemcy wykupili 400 rocznych i 1,965 dziennych. Bezpłatnych świadectw wydano 15,056. Płatne dały 2,500,000 marek dochodu. Na poszczególne prowincye przypada: na saską 22,300, hannowerską 21,500, nadreńską 20,700, szląską 18,000, brandenburską 17,000, westfalską 16,000; na okręgi podmiejskie razem z Berlinem przypada 3,800.

Jeszcze o kongresie myśliwskim.

W zagranicznych pismach myśliwskich znajdujemy jeszcze ciekawe szczegóły o odbytym niedawno w Paryżu międzynarodowym kongresie myśliwskim, które dajemy w uzupełnieniu sprawozdania, zamieszczonego w poprzednim numerze „Łowca Polskiego".

Oprócz ministra rolnictwa, przewodniczył na kongresie *Directeur générale des Eaux et forêts.* Dwie główne sekcye podzieliły się, jak następuje: jedna zajmowała się sprawami gospodarczo-ekonomicznemi łowiectwa, druga prawodawstwem i różnymi przepisami.

Jakie mnóstwo materyału było do rozważania, świadczy praca podsekcyj, które poruszyły sprawy: broni oraz amunicyi, wypadków na polowaniu, ubezpieczenia przez zakładanie kasy pomocy wzajemnej, hygienicznego zachowania się na polowaniu, metod myśliwskich, systemów łowieckich; słowem, poruszono niemal wszystko, co ma związek z myślistwem.

Ze spraw międzynarodowych na porządku dziennym było zabezpieczenie przepiórek od tępienia podczas przelotów, ochrona ptaków wędrownych wogóle; uchwalono, że pożądanem byłoby niestrzelanie wcale do słonek podczas ciągu wiosennego.

Ciekawa była sprawa prochów, poruszona na kongresie. Podług prawa z d. 15 Fructidora roku V (po rewolucyi francuskiej), zabronione zostało przywożenie prochu zagranicznego do Francyi, po części dlatego, żeby nie uszczuplić państwu dochodów z fabrykacyi prochów, a z drugiej strony chciano w ten sposób, według przekonania ówczesnego rządu, tamę położyć nadużyciom i wybuchom. Wynikiem tego przepisu było to tylko, że Francya nie mogła nic korzystać z ulepszeń zagranicznych i traciła dużo czasu i pieniędzy na próbach naśladowania wyrobów zagranicznych. Przytem skrępowano także wynalazczość krajowców na tym punkcie, gdyż jeszcze d. 31 października 1896 r. wydano przepis, że każda osoba prywatna, która chce się zajmować produkowaniem prochu i materyałów wybuchowych, musi na to najpierw uzyskać pozwolenie władzy. Do tego zaś potrzeba było nietylko podawać do wiadomości policyi szczegółowe informacye o laboratoryum, oraz ilości mającej się wyrabiać, lecz także dokładny opis części składowych materyału. Było to jednak rozporządzenie trochę naiwne, gdyż niełatwo się znajdzie takiego chemika, który zdradzi swą tajemnicę komu innemu, każdy, owszem, pragnie zachować ją dla siebie i ciągnąć z niej korzyści.

Przeciw temu stanowi rzeczy kongres zaprotestował, dowodząc, że z tego powodu proch francuski jest najmniej wart ze wszystkich prochów. Kongres żądał żeby przynajmniej nie stawiano przeszkód naukowemu badaniu prochów, oraz żeby wolno było sprowadzać do Francyi proch zagraniczny pod pewnymi warunkami Stwierdzono bowiem, że nietylko angielskie prochy stoją wyżej od francuskich, ale i niemieckie wyroby, a zwłaszcza *„Walsrode"*. Pozatem polecono także wprowadzenie prochów włoskich i belgijskich.

J. K.

Ulepszanie żerowisk.

Myśliwi hodowcy, którzy pragną prowadzić intensywną hodowlę zwierzyny, muszą przedewszystkiem pamiętać o tem, że należy dostarczać jej po-

trzebnych części składowych mineralnych, o ile można, nie w substancyi skoncentrowanej, lecz w samych roślinach. Potrzeba przeto uposażyć żerowisko w jaknajwiększą ilość minerałów.

W tym celu należy glebę zaopatrzyć w materyały odżywcze, potrzebne dla roślin, a te już same swymi organami czerpać będą owe materyały odżywcze z ziemi. Najprostszym środkiem jest obfite nawożenie ziemi, lecz nie każdy nawóz i nie w każdej postaci nadaje się ku temu. Nie wszystkie też rośliny zachowują się jednakowo na punkcie wyciągania z ziemi właściwych materyałów odżywczych.

Najlepiej się postępuje, dając roślinom obfitą ilość tych materyałów i bacząc na to, aby one były różnorodne i łatwo rozpuszczalne. Łudzi się zaś ten, kto sądzi, że dostatecznie uczynił dla gleby, zaopatrując ją w nawóz, choćby go rozsypano bylejak i w dowolnej postaci. Rośliny bowiem nie dadzą się oszukać. W braku materyału odżywczego, rozwijają się one marnie.

Chcąc postępować racyonalnie i starannie, trzeba dbać o dostarczanie wszelkich materyałów mineralnych w postaci łatwo rozpuszczalnych nawozów. Sprawa kosztów jest dla hodowcy dopiero wtedy ważna, jeżeli może osiągnąć *takie same* rezultaty za tańszą cenę.

Do najczęściej używanych obecnie materyałów nawozowych należą żużle Thomasa. Są one łatwe do przechowania, przenoszenia i rozsypania. Zawierają dużo wapna, po za fosforanem. Są też odpowiednie dla wszystkich rodzajów gleb i roślin. Trzeba jednak, nabywając, wziąć od kupca gwarancyę, że są w dobrym gatunku. Najłatwiej otrzymać można taką gwarancyę, sprowadzając dużą ilość od większej firmy. Nieznający się na nawozach hodowcy-myśliwi, najlepiej uczynią u nas, nabywając nawozy za pośrednictwem oddziałów handlowych Towarzystw rolniczych, do których można mieć zaufanie, jako do instytucyj publicznych.

Teraz właśnie jest pora do czynienia zakupów, gdyż potem, ku jesieni, nawozy zwykle drożeją. A przytem letnią porą więcej jest wagonów kolejowych wolnych i przewóz jest przeto łatwiejszy.

K.

W sprawie rui sarn.

II.

W Nr. 10 „Łowca Polskiego“ z r. b. artykuł „Jeszcze o rui sarn“ daje dowód wiecznej, a nieskończonej kwestyi. Daleki jestem od tego, bym chciał ostatecznie węzeł gordyjski rozwiązać i zakończyć długoletnią, a ciągle ponawianą polemikę myśliwych i przyrodników; przytoczę jednak fakt, który rozświetli o czasie rui sarn i może przekona opornych.

W roku 1900-ym nabyłem na Polesiu parę łosi, a była to pierwsza zwierzyna dla projektowanego zwierzyńca „Pilawina“ w lasach piszczowskich dóbr Józefa hr. Potockiego. Na czasowe pomieszczenie tych łosi zagrodzono 60 hektarów lasu. Zamknięcie ostateczne parkanu nastąpiło 23 lipca (st. st.). Parkan ten zbudowany tak szczelnie, iż sarna między deskami przedostać się nie może. W kilka dni potem w tej części widziałem kozę z koźlęciem, które przypadkowo zagrodzono; po dokładnem przejrzeniu tego obszaru, więcej sarn nie znaleziono. Mimo, iż jestem wyznawcą pory rui sarn lipcowej, zainteresowałem się przyszłem rozwiązaniem; otóż w maju następnego roku spotkałem tę kozę z małem koźlęciem, które okazało się później kozłem, bo pierwsze było kózką.

Nie ulega zatem wątpliwości, iż koza ta była już zapłodnioną przed 23-im lipca.

Nie mogę jeszcze pominąć kwestyi bardzo ważnej, iż wszelakie cervidy w czasie godów mają w pełnej sile oczyszczone rogi, które im nietylko służą jako obrona przed drapieżnikami, lecz także jako oręż do staczania walk z rywalami o nadobne łanie; tudzież koguty na ten czas przybierają weselną, lśniącą barwę piór, ostrzą dzioby i ostrogi na spodziewane zapasy o zalotne i potulne kury. Dlaczegoby natura wybrała czas godów dla kozłów sarn wówczas, gdy są pozbawione całej swej krasy, rogów do staczania walk i zadawania ciosów swym współzalotnikom?

Autor „Jeszcze o rui sarn“ pisze, „iż wiarogodny świadek widział w grudniu zawzięty bój dwóch kozłów-rywali“, zapewne omyłkusów, bo w tym czasie normalnie kozły rogi zrzuciły, a gdyby nawet wyjątkowo miały, to w grudniu ze słabo już osadzonymi rogami zawziętego boju prowadzićby nie mogły. W czasie mej trzydziestoletniej praktyki zdarzało mi się nieraz obserwować walczące kozły, ale tylko w czasie lipcowej rui; są zę jednak iż samce walczą z sobą i w innym czasie tak sobie z figlów dla zabawy, co dość często widziałem zimą, jak walki te dla zabawy praktykują jelenie.

Romuald Sokalski.
Nadleśny dóbr i kierownik Pilawina.

Piszczów, w czerwcu, 1907 r.

Ogólne Zebranie.

W d. 17-ym lipca odbyło się Ogólne Zebranie Członków naszego Oddziału Cesarskiego Towarzystwa prawidłowego myślistwa. Przewodniczył p. Blumental, pióro trzymał p. Paniewski. Obecnych było 46 Członków.

Zebranie to poprzedziła fatalna wieść, że Rada w ostatnich czasach wykryła nadużycia jednego z urzędników kancelaryjnych, który sprawował obowiązki buchaltera i kasyera. Niezgodność cyfr, ujawnionych w sprawozdaniu rocznem, sporządzonem na podstawie cyfr, dostarczonych przez owego buchaltera, zwróciła uwagę Rady, która do sprawdzenia ksiąg wydelegowała ze swego ramienia komisyę, złożoną z pp. Br. Wysockiego, Ant. Fabiana i J. Zarembskiego. Komisya stwierdziła nadużycia kasowe i najfatalniejsze pogmatwanie rachunków w księdze głównej. Przyszedłszy do przekonania, że księgi te, jako wadliwie prowadzone, w żadnym razie nie mogą służyć za istotną podstawę do sprawozdania finansowego, postawiła wniosek, że księgę kasową należy sprawdzić ponownie i szczegółowo z dowodami kasowymi i sporządzić zupełnie na nowo księgę główną. Czynność tę należy powierzyć specyalnej komisyi, która weźmie do pomocy fachowego buchaltera, dla dokonania pod jej nadzorem tej mozolnej pracy, wymagającej nadto specyalnej znajomości rzeczy. Tylko po sprawdzeniu ksiąg zeszłorocznych i tegorocznych, aż do dnia 15 lipca r. b., można będzie ustalić wysokość sprzeniewierzonej sumy i otrzymać faktyczny, zgodny z istotnym stanem rzeczy materyał do sporządzenia prawdziwego, finansowego sprawozdania za rok ubiegły.

Rada uznała słuszność wniosku i zaprosiła do proponowanej komisyi p. A. Fabiana, a na miejsce pp. Wysockiego i Zarembskiego, którzy wyjeżdżają

na letni odpoczynek, powołała pp. Słonczyńskiego i Jacuńskiego.

Ogólne Zebranie ze smutkiem dowiedziało się o tem wszystkiem na początku posiedzenia i zarządzenia Rady zaakceptowało.

Przyjęto też budżet na r. b. w wysokości zeszłorocznej, t. j. obejmujący w dochodach i wydatkach sumę 36,950 rb.

Przekroczenie budżetu Wydziału Ochrony, w wysokości 947 rb. Ogólne Zebranie postanowiło pokryć z ogólnych funduszów Towarzystwa.

Z kapitału zasobowego postanowiono uruchomić 5,560 rb. na bieżące wydatki.

Wydziałowi popierania hodowli psów rasowych pozwolono na użytkowanie czystego dochodu z wystaw psów na potrzeby Wydziału, nie przelewając tych dochodów do ogólnych wpływów Oddziału.

Projekt ustanowienia opłaty za polowanie na terenach Towarzystwa, w wysokości 30 rb., wywołał długą i ożywioną dyskusyę. Zdania się podzieliły. Niektórzy Członkowie byli przeciwni wszelkiej dopłacie, p. St. Lilpop dopłatę ową chciał ująć w formę płatnych biletów sezonowych na różną zwierzynę, p. J. Sztolcman wystąpił z projektem biletów płatnych za każdy dzień polowania, p. Chomiczewski do tego projektu wniósł poprawkę, aby polowania zimowe były wykluczone od dodatkowej opłaty. Ten ostatni projekt miał najwięcej zwolenników. Wydział ochrony w ostatniej chwili, widząc, że projekt 30 rb. opłat rocznych nie ma szansy, cofnął go zupełnie i sprawa polowań pozostała *in status quo*.

Należy tu nadmienić, że Wydział Ochrony chciał wytworzyć przez owe 30-rublowe opłaty dochód roczny, któryby był użytkowany wyłącznie na polowania dla Członków, zachodziła bowiem obawa, że wobec znacznego zmniejszenia się dochodów Oddziału, Ogólne Zebranie zechce ograniczyć budżet Wydziału na 1908 r. z 10,000 na 5,000 rb. Ta ostatnia cyfra nie wystarczałaby na utrzymanie teraźniejszych terenów myśliwskich i należałoby się połowy ich zrzec.

Gdy jednak sprawa ta przyszła pod obrady, Zebranie powołało się na zatwierdzoną przed paru laty przez Ogólne Zebranie interpretacyę ustawy, zastrzegającą, aby ważne sprawy na Zebraniach, zwoływanych w ciągu miesięcy letnich, decydowane nie były.

Wobec tego sprawę odłożono do Ogólnego Zebrania, które ma być zwołane w m. wrześniu.

Wybory dały rezultaty następujące:

do Rady wybrano pp. Br. Wysockiego, Al. Szwedego, Wł. Jacobsona i Ksawerego hr. Branickiego;

do Wydziału ochrony i polowań powołano pp. Łączkowskiego i Korybuta Daszkiewicza;

do wydziału hodowli psów pp. Józefa Zarembskiego, Bronisława Wysockiego, Wł. Jacobsona, Hermana Knothego i Edwarda Lilpopa.

Drobiazgi myśliwskie.

Sprowadzanie broni. Ażeby zapobiedz kilkakrotnemu sprowadzaniu broni palnej i nabojów na mocy jednego świadectwa departamentu policyi, zarządom komór celnych polecono rzeczone świadectwa, po sprowadzeniu broni, odbierać od właścicieli i przechowywać w aktach.

Przewóz psów. Staraniem zarządu łódzkiego oddziału Towarzystwa racyonalnego polowania, został wydany przez dyrekcyę elektrycznych, wązkotorowych kolei dojazdowych Łódź - Zgierz, Łódź - Pabianice okólnik do służby ruchu, w sprawie przewozu psów myśliwskich. Przewóz psów w wagonach kolei dojazdowych zezwolonym jest z zachowaniem następujących przepisów: Przewóz psów odbywa się tylko na tylnej platformie wagonu dodatkowego lub w przedziale bagażowym, o ile jest wolne miejsce i o ile nie napotyka protestu ze strony znajdujących się tamże pasażerów. Pies winien mieć nałożony kaganiec i być trzymany na sznurku przez swego właściciela. Za wszelkie wypadki, wynikłe bądź z psem, bądź wskutek przewozu psa, zarząd kolei nie odpowiada i czyni odpowiedzialnym jedynie pasażera, który psa z sobą zabiera.

Wierny pies. Z pod Janowa podlaskiego donoszą do „Gońca": Tragiczny wypadek zdarzył się u nas w tych dniach. Przy zbiorze siana, w dzień bardzo upalny, dwaj włościanie we wsi Buczyce, nazwiskiem Kosubaj i Zaręba, dla ochłody poszli się kąpać do Bugu, i czy to uniesieni prądem, czy też zapuściwszy się nieostrożnie zbyt daleko, w braku dostatecznego ratunku, obaj utonęli. Jeden z nich miał ze sobą psa, który, jak mógł, starał się ocalić swego pana. Dwa razy wydobywał go na powierzchnię wody, lecz nie miał dosyć sił na utrzymanie takiego ciężaru i jedynie pokaleczył zębami nieszczęśliwego. Pogrzeb jednej z ofiar smutnego wypadku odbył się we czwartek, d. 11 lipca, w Janowie podlaskim, drugiej—w piątek, gdyż ciało wylowiono dopiero drugiego dnia w większej odległości od miejsca wypadku, także podobno z pomocą tegoż p a.

Polowania w Austryi. Z wydanej właśnie przez ministerstwo rolnictwa statystyki łowieckiej za rok ubiegły, wynika, że w ciągu tego roku ubito we wszystkich rewirach łowieckich w Austryi, zajmujących obszar 18,683,000 hekt,, ogółem 4,569,800 sztuk zwierzyny: 2,100,000 kuropatw, 1,696,000 zajęcy, 106,800 sarn, 18,400 jeleni, łań i zwierząt, należących do kategoryi t. zw. płowej zwierzyny, 8,300 gemz. Szkodników ubito lub złapano 985,000 sztuk, w tem 40,000 lisów, 15,000 łasic, 58 wilków i 21 niedźwiedzi.

Kłusownik morderca. Na Pomorzu zabity został przez kłusownika leśniczy królewski, Krueger, który o 3-ej nad ranem obchodził swój rewir.

Ruja sarn. Jeden z myśliwych austryackich widział w d. 13-ym czerwca, jak kozioł gonił sarnę i pokrył ją.

Toki w Austryi nie udały się w roku bieżącym. Było wprawdzie dużo głuszców i cietrzewi, lecz pogoda przeszkodziła, gdyż podczas gry w końcu kwietnia leżały jeszcze śniegi, uniemożliwiające podchodzenie i skakanie w czasie przerwania pieśni koguta. Tok cietrzewi zaczynał się także tak późno, że już bydło wychodziło na paszę, wskutek czego nie można było podchodzić cietrzewi.

Przeciw kłusownictwu na Węgrzech. W węgierskiem piśmie „Badazslap" zajmują się sprawą kłusownictwa na Węgrzech pp. H. F. i Somogyi. Pierwszy żąda ograniczenia liczby świadectw na broń i utrudnienia sprzedaży prochu kłusownikom. Drugi proponuje obostrzenie kar za kłusownictwo. Prawo węgierskie rozróżnia między kłusownictwem z bronią palną, a ustawianiem pułapek, wyznaczając za pierwsze tylko karę pieniężną niedużą, ponieważ uważa je tylko za przekroczenie przepisów z namiętności do strzelania, a nie za kradzież, jak ustawianie pułapek.

Aklimatyzacya grousów. Pod Hannowerem usiłowano kilkakrotnie zaaklimatyzować grousy szkockie, lecz, jak dotąd, bez rezultatu. Ostatnim razem sprowadzono w 1905-ym r. dwa stada, liczące razem 15 sztuk, ale wyginęły po pewnym czasie. Poprzednie próby były również nieudatne. Sprowadzone w r. 1898 przez hr. Berga, 10 par grousów, zdechły niemal zaraz po przywiezieniu.

Bażanty w Austryi. jak zapewnia „Neue Freie Presse", rozmnożyły się niesłychanie w ostatnich latach. Jeszcze przed ćwierćwiekiem bażanty stanowiły uprzywilejowaną zwierzynę, znajdującą się jedynie

w wielkich majątkach magnackich. Obecnie hodują tego ptaka różni, nawet drobni właściciele ziemscy. W roku bieżącym lęgi się udały dobrze i były obfite, lecz obecnie dochodzą wiadomości o zarazie, szerzącej się śród młodych. W znanych rewirach na Morawach i w Chorwacyi setki młodych zdechły na *enteritis* (zapalenie kiszek). W Czechach padło również dużo młodych, z powodu żerowania na sztucznych nawozach.

Zuchwała sarna. Niezwykłe zdarzenie opisuje „Wild und Hund“. Dwóch panów wyszło na przechadzkę w towarzystwie małego psa. Szli przez las, drogą publiczną, piesek biegał po lesie, blizko gościńca. Naraz wyskoczyła sarna i rzuciła się na psa, bijąc i katując go silnie przedniemi racicami, i nie przestała go obrabiać, dopóki panowie nie podeszli, strasząc ją krzykiem i machając kijami. Sarna zwróciła się na ludzi, bijąc ich głową i przedniemi racicami. Panowie zmuszeni byli bronić się kijami. Sarna wówczas dopiero cofnęła się z pola walki, gdy ją jeden z panów energicznie kijem po grzbiecie uderzył. Za oddalającymi się szybko panami, postępowała tuż sarna. Prawdopodobnie miała ona w pobliżu ukryte koźlątko, które broniła od napadu.

Pożary lasów a króliki. Olbrzymie pożary lasów, jakie zdarzyły się ostatniej wiosny w Nowej Walii Południowej i w Wiktoryi, spowodowane zostały — jak wykazały ścisłe dochodzenia — przez truciznę z fosforem, zakładaną dla tępienia królików, które rozmnożyły się tam nadmiernie i wyrządzają wielkie szkody na polach. Truciznę tę zakładano w wielkich ilościach, w okolicach dotkniętych króliczą plagą. Trucizna, wysychając, zapala się pod działaniem promieni słonecznych i sprowadza klęski pożarów.

Ucieczka niedźwiedzia z menażeryi. W cyrku Buscha w Wiedniu produkował się syn słynnego pogromcy i dostawcy zwierząt drapieżnych, młody Wilhelm Hagenbeck z siedmdziesięcioma białymi niedźwiedziami. W zeszłym tygodniu, gdy o godz. 10-ej wieczorem białe niedźwiedzie zaczęto spędzać do maneżu, kratami otoczonego, jeden z młodych niedźwiedzi przedostał się do zewnętrznych drzwiczek, które, na nieszczęście były otwarte, i wyszedł na ulicę przed cyrk, następnie pomaszerował na ulicę dalej, aż wreszcie doszedł do Prateru. O tej porze znajdowało się tam jeszcze wielu spacerowiczów, którzy początkowo wzięli niedźwiedzia za dużego, białego psa i głaskali go, gdy koło nich przechodził. Skoro jednak w parę chwil potem nadbiegła służba cyrkowa z drągami, widłami i sznurami, krzycząc, że uciekł biały niedźwiedź, przechodnie w strachu panicznym rzucili się do ucieczki. Niedźwiedź tymczasem, wystraszony krzykiem wbiegł do pierwszej z brzegu restauracyi, jaką napotkał. Kelnerom półmiski i talerze z rąk powypadały, a goście zaczęli uciekać, skacząc przez bufet, zrzucając i tłukąc wszystko po drodze. Wreszcie niedźwiedzia otoczono, nałożono mu kaganiec i odprowadzono do cyrku, jednak pod czas „aresztowania“ miś podrapał trochę ramię jednemu z ciekawskich. Ten ostatni skorzystał z gratki, i chcąc się dobrze obłowić, podał Hagenbecka do sądu o 200 kor. za ból i 300 kor. wynagrodzenia za utratę zarobku podczas leczenia. Ponieważ jednak lekarze zaświadczyli, że owo podrapanie jest lekkie i nawet niebolesne, przeto sąd przysądził mu tylko 200 koron, a Hagenbecka, za niedozór, skazał na 50 kor. grzywny.

Psy Ouidy. O słynnej powieściopisarce angielskiej, Ouidzie, donoszą pisma zagraniczne, że Ouida kilka lat temu mieszkała we wspaniałej willi w pobliżu Florencyi. Mieszkańcy okoliczni zwali ją „Signora dei cani“ (Pani psów), utrzymywała bowiem w willi stale 30 do 40 psów najrozmaitszych. Nie dość na tem. Pewnego razu wyprawiła dla wszystkich psów w Lucce ucztę, złożoną z mleka, chleba i mięsa. A była wówczas już w takich długach, że często sama nie miała pożywienia. „Wystarcza, gdy mogę psy swoje nakarmić“ — odpowiadała tym, którzy zwracali jej na to uwagę. Obecnie jeszcze posiada trzy psy ulubione, aczkolwiek z biedy mieszka gdzie się zdarzy.

Konserwowanie jaj. Jaja z czerwca i lipca możemy przechować do listopada, grudnia, a nawet stycznia w zupełnej świeżości tylko za pomocą zatapiania w rozczynie szkła wodnego. Jest to najlepszy, najtańszy i najpewniejszy sposób. Odznaczony przed paru laty na wystawie medalem złotym, rozszerzył się szybko w Niemczech. Kilo szkła wodnego kosztuje około 35 kopiejek, zmieszać go trzeba dokładnie z 10 litrami wody studziennej. Naczynie, w którem mają być jaja przechowane, musi być nowe, lub przynajmniej bez żadnego odoru; napełnia się do połowy rozczynem i zatapia się codzień świeże jaja, poprzednio natarte, czyli natłuszczone lekko szmateczką, umaczaną w smalcu roztopionym. Kupując szkło wodne, uważać należy, aby je wlano w naczynie nowe. Szkło wodne nabyć można w każdym składzie aptecznym. W większej ilości z fabryk, wynosi taniej. Po 6 — 8 miesiącach wyjmuje się jaja, myje w chłodnej wodzie i osusza bez wycierania. Jaje jest pełne, skorupka gładka, niezmieniona. Po wyjęciu jaj płyn użyć można raz jeszcze. Dolawszy na podaną wyżej ilość pół litra szkła płynnego, rozkłócić dokładnie, naczynie umieścić w chłodnej komorze, jak poprzednio, nienakryte, i jaja znowu codziennie zatapiać. Będą również dobrze przechowane.

Słonie nababów. W upalnym klimacie Indyj tylko wczesne godziny ranne możliwe są do spaceru. Zaledwie słońce wzejdzie, w alejach Dżaipurzu widok roztacza się niezwykły. Bogacze indyjscy wybierają się na spacer pieszo, konno, w palankinach przez woły ciągnionych lub na słoniach. Ten ostatni sposób „lokomocyi“, dostępny jest tylko nababom indyjskim, zarówno bowiem słoń, jak i jego utrzymanie, drogo kosztuje nawet w Indyach. Niektórzy bogaci hindusi utrzymują tygrysy tresowane i z nimi wybierają się na spacer, dla pewności jednak zawiązują oczy tym dzikim zwierzętom.

Szkodliwość wron. Jedno z angielskich pism myśliwskich opowiada, że niejaki Willy Marzillier, idąc na polowanie na kozła, spostrzegł w pobliżu wroniego gniazda 64 jaj bażancich i 37 kuropatwich, które były przekłute i puste. Myśliwy zasiadł w pobliżu i po półgodzinnem oczekiwaniu, zastrzelił starą wronę, która niosła w dziobie jajko bażancie. Po chwili nadleciały dwie młode wrony, które M. także zastrzelił; obydwie były bardzo tłuste, wykarmione widocznie jajkami bażantów i kuropatw.

„Diplodocus Carnegei“. Muzeum Carnegiego w Pittsburgu posiada jedyny dotychczas częściowo zrekonstruowany okaz olbrzymiego, przedpotopowego zwierzęcia, które przyrodnicy nazwali „dyplodokiem“. Szkielet potwora odkryła w lecie 1899 r. ekspedycya przyrodnicza muzeum Carnegiego w formacyach pośrednich między jurasowemi a kredowemi w Sheep Creet w hrabstwie Albany. W okolicy tej odnaleziono już mnóstwo ciekawych wykopalisk, jest to, jak gdyby ogromne cmentarzysko życia przedpotopowego. Diplodocus Carnegiego ma 24 m. długości, a prawdopodobnie brakuje mu jeszcze znaczny kawałek ogona, tak, że żyjący potwór miał długość jeszcze większą. Był on zwierzęciem trawożernem. Olbrzymi tułów dochodził wielkości mamuta, z karku wyrasta szyja dłuższa jeszcze, niż tułów, ale stosunkowo cienka, jak u żyrafy. Zakończeniem jej jest głowa, niewiększa od końskiej. Położenie tej głowy jest jeszcze ciągle kwestyą sporną między uczonymi, jedni sądzą, że była ona umieszczona tak, jak u konia, inni znowu twierdzą, że położenie jej musiało przypominać jaszczury. Najciekawszą częścią zwierzęcia jest olbrzymi ogon, który był zapewnie bronią potwora. Ogon ten jest u nasady twardy i gruby, jak u krokodyla, potem staje się coraz cieńszy, kończy się zaś niby biczem metrowej długości, złożonym

z kostek grubości palca Siła udarzeń ogonem musiała być istotnie niezwykła. Opisano „diplodoca" dopiero w ostatnim roku. W maju 1905 r. ofiarował Carnegie, na prośbę króla Edwarda, gipsowy odlew zwierzęcia muzeum brytyjskiemu. Obecnie, z okazyi otwarcia instytutu Carnegiego, otrzymali reprodukcye cesarz Wilhelm II i republika francuska.

Nowa kula. Jak donosi „Daily Telegraph", wynaleziono nową kulę karabinową, która wywoła w strzelaniu taki sam przewrót, jak proch bezdymny. Nowa kula posiadać będzie po opuszczeniu lufy szybkość początkową 2,500 stóp na sekundę.

Wykazy myśliwskie.

Na terenach łowieckich Warszawskiego Oddziału Tow. prawidł. myśl. w 1906 r. zabito:

	Osieck	Miedzna	Razem
Zwierzyny użytecznej:			
Rogaczy	—	3	3
Zajęcy	641	767	1408
Cietrzewi	20	—	20
Kuropatw	834	654	1488
Przepiórek	2	3	5
Słonek	4	—	4
Dubeltów	2	—	2
Bekasów	75	3	78
Ficlauzów	1	—	1
Kaczek	147	7	154
Chróścieli	5	—	5
Kulonów	5	—	5
Kulików	12	—	12
	1748	1437	3185
Szkodników:			
Lisów starych	10	32	74
Lisów młodych	16	16	
Borsuków	3	5	8
Kun	5	9	14
Tchórzy	20	34	54
Łasic	77	17	94
Kotów	211	93	304
Psów	261	82	343
Orłów	1	—	1
Jastrzębi dużych	145	75	220
Jastrzębi małych	117	48	165
Bocianów	35	8	43
Kruków	7	4	11
Srok	311	54	365
Wron	1820	1190	3010
Sójek	1053	227	1280
Wiewiórek	1659	372	2031
Jajek	20	62	82
Ogółem	5771	2328	8099

PRZYSŁOWIA MYŚLIWSKIE.

Zebrał z „Księgi Przysłów" **J. O.** *(C. d.).*

Pies.

361. Chłop sprzedał psa żydowi za lisa.
362. Cudzemu dziecku i cudzemu psu nigdy się nic nie daje.
363. Dzieci i pieski na ostatku.
364. Lepiej psy paść, niż dzieci uczyć.
365. Do dziewczyny z siwą głową, jak do psa z jeżem.
366. Kiedy pies ma ukąsić, to warczy, pszczoła brzęczy, a dziewka tylko ślepiami błyśnie.
367. Elegant na psich nóżkach
368. Kto gada, jak pies, tego biją, jak psa.
369. Gadu, gadu, a psi w krupy.
370. Płowe gęsi, zielone psy, pięć krów za grosz — rzeczy niepodobne.
371. Zginął, jak pies na jarmarku.
372. Głodny, jak pies.
373. To się psu na budę nie godzi.
374. Na gołego i psy szczekają.
375. Nie jednemu psu Łysek.
376. Gryzą się, jak pies z kotem.
377. Hałas, hałas, a pies zjadł ananas.
378. Hulał, jak pies w studni.
379. Z jedynaka — pies, albo sobaka.
380. Do jedzenia jest, a do roboty zdechł pies.
381. Będziesz jeść, jak ci przyniesie kukiełkę pies.
382. Pies wie, kto mu jeść daje.
383. Kręci językiem, jak pies ogonem.
384. Tak to prawda, jak, że się psy na Łysej Górze bodły.
385. Lichy majster niech psu buty robi.
386. Malujesz, jak pies ogonem.
387. Nie małpa, nie pies, nie wilk, nie kozieł, ot jakieś cudo
388. Największa jest miłość matki, druga psia, a trzecia kochanki.
389. Dobra psu mucha, a Matyaszowi płotka.
390. Pewno jedzie mazur, bo psy na wsi hur, hur!

(C. d. n.).

SPROSTOWANIE.

W artykule moim „Pilawin" (patrz Nr. 14 z r. b.) mylnie podałem, że fox-terrierka „Iskra" pochodzi z psiarni p. Oskara Saengera. Suczka ta, jako młode szczenię, była nabyta na III ej Warszawskiej Wystawie psów od ks. Sewerynowej Czetwertyńskiej.

Jan Sztolcman.

Treść Nr. 15 „Łowca Polskiego".

Prenumerata „Łowca Polskiego" wynosi:

W Warszawie: rocznie 6 rub., półrocznie 3 rub., kwartalnie 1 rb 50 kop. (z odnoszeniem do domu).

Z przesyłką pocztową: rocznie 7 rub., półrocznie 3 rub. 50 kop., kwartalnie 1 rub. 75 kop.

Zagranicą: rocznie 10 guld., albo 16 marek, albo 20 franków; półrocznie 5 guld., albo 8 marek, albo 10 fran.

Pojedyńczy numer **„Łowca Polskiego"** 30 kop.

Ogłoszenia za wiersz drobnego pisma (petitu) lub jego miejsce 10 kop.

„Łowca Polskiego" prenumerować można: w Kantorze Administracyi **„Łowca Polskiego"** Ś-to Krzyżka 36, w Kancelaryi Warszawskiego Oddziału Cesarskiego Towarzystwa Prawidłowego Myślistwa, Nowy-Świat 35, oraz we wszystkich księgarniach w Warszawie i na prowincyi.

Listy do **„Łowca Polskiego"** adresować należy:

Smolna 40, w Warszawie.

OGŁOSZENIA.

Redaktor i wydawca **Jan Sztolcman.**

Druk „Drukarni Polskiej" (L. Straszewicza). Warszawa, Jasna 2.